

W obcych językach...

Jakoś przyjemniej wychodzić na spacer. Po sześciu minutach umiarkowanego marszu od mojego domu (ściślej „mojego wieżowca”) jestem już na rozległej łące i w rzadkim, ale urokliwym lasku w pobliżu Ogrodu Botanicznego, co chwilę potykając się o wielkie, nieregularne wyrwy (czy jak to inaczej nazwać?) uczynione wyraźnie świeżutko przez (chyba dość liczne?) dziki ryjące podłoże w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia.

Pozostawiły na najbliższe dni bardzo wyraźne ślady swojej obecności, jak listy do człowieka. Można powiedzieć, że prywatnie jestem – jak ta ziemia – wzruszona ich niedawną obecnością. Na szczęście **niedawną**, a nie **aktualną**. Jeden raz w życiu (przed laty) widziałam dzika przebiegającego przez tory kolejowe – używane głównie w czasie prezydenckich dożynek – w Spale. Zmykałam chyżo. Ale akceptuję ludzkie i dzicze prawo do życia na wspólnych terenach.

W pierwszej dekadzie grudnia obok wyrw podzikowych, na mojej trasie spacerowej były bardzo liczne kopce krecie. No, kreta nie widziałam nigdy. Ale wiem, że świeże kopce sygnalizują nadchodzące cieplejsze dni. Zawsze się sprawdza. Jednak przedwczoraj skończyło się owo względne (bo trochę powyżej zera) grudniowe ciepłko i dzisiaj (słowo honoru!) na chodnikach, ulicach i stojących samochodach jest nieśmiała warstewka prawdziwego śniegu. Wydaje się to nie do wiary. Ale lepiej, że tylko cienka warstewka. W młodości umiało się gibko i chybko po tym poruszać. A teraz?! Każdy krok powolny, gapowaty, niezdarny i lękliwy. No, przewróć się i złam sobie jakąś kość. Prawie taka sama zgroza w pandemii, jak i bez pandemii!

W ogóle tęskno zimą za latem. Za własną, niezbyt zadbaną leśną działeczką, pełną (zalecaną ostatnio przez wodno-lubne stowarzyszenia) niezbyt wygrabionych liści, poddrzewnych igieł i szyszek. Dobrze się tam czuje młoda wiewiórka z nieco wygryzionym ogonem, która wpada na tarasik, do domku, a czasem na kolana dobierając się do ręki, w której (i słusznie) spodziewa się znaleźć orzecha. Zresztą rozpuściła się tak dalece, że nie wystarcza jej jeden. Czeka na drugi i dopiero wtedy usatysfakcjonowana ucieka. Bardzo rzadko w super upalne dni ślady jej ścieżek przecina godnym krokiem jeź kierujący się zdecydowanie do miski z wodą. Oczywiście zostawiłam na zimę specjalną kupkę liści do zamieszkania, może skorzysta.

Rozmyślając, jakie najbardziej niezwykle zwierzętkowe wydarzenie spotkało mnie w życiu – przypominałam sobie, jak w dawnej, dawnej młodości w słowackich Tatrach wyszłam bardzo wczesnym rankiem z jakiegoś schroniska i po kilkunastu krokach usłyszałam (jakby tuż przy lewym uchu?) ostry gwizd? świst? W istocie, w odległości metra ode mnie trwał dumnie wyprostowany sprawca. Niby nic wielkiego, ale do dziś pamiętam urodę

owego świstaka wśród nagich skał.

W wieku mocno dojrzałym, bo w lecie 2020 również miałam niezwykłą przygodę. W czasie ablucji w kabinie prysznicowej, która znajduje się w domku działkowym (poniżej poziomu gleby) – pionowo w dole na kafelkach coś niezbyt dużego wiło się i pętało w górę. Coś okazało się... młodziutkim padalczykiem. Wzięłam go na patyk i hulnęłam za okno. Był niebrzydki, ale w tych okolicznościach nie wzbudzał mojego zachwytu. Jak przez „mgłę mózgową” pamiętam, że w którejś książce Antoine *de Saint-Exupéry* opisywał kuchnię mieszkańców przy starym stole, a pod stołem kłębiły się różne zwierzaki, w tym zaprzyjaźnione liczne węże.

Zbliżam się do wspólnego mianownika mojej zwierzątkowej (na czasy społecznej pandemicznej izolacji) opowieści. Każdy ma pewnie własny. Mój stanowi nieopisanie wspaniały domowy kot, z wpisu do książeczki zdrowia: rasa średnioeuropejska krótkowłosa, maść szara pręgowana. Wiem, że są różne kartuskie, rosyjskie, syjamskie, orientalne... Niech się wszystkie pochowają w mysie (sic!) dziury! Żaden z nich nie potrafi – jak mój – skakać z poziomu podłogi na najwyższą, podsufitową półkę. Masować moje kolana przednimi łapkami. Potem drzemać i mruczeć kojąco w takt własnego oddechu (co na to pulsoksymetr?). Towarzyszyć mi w każdej (nielicznej, bo oczywiście głównie śpi) chwili w kolejnym pomieszczeniu, patrzeć z miłością i pełnią *mindfulness* w oczy. I tylko mimochodem pomiaukiwać, gdy chodzę po kuchni, że tylko pozostaje mi powtarzanie frazy po niedoskonałym polityku – kocie kochany, „nie będziesz w obcych językach” wypraszał ode mnie zawartości lodówki...

Krystyna Borysewicz-Charzyńska

Panaceum 1-2/2021